

Eleonora Kroczyńska

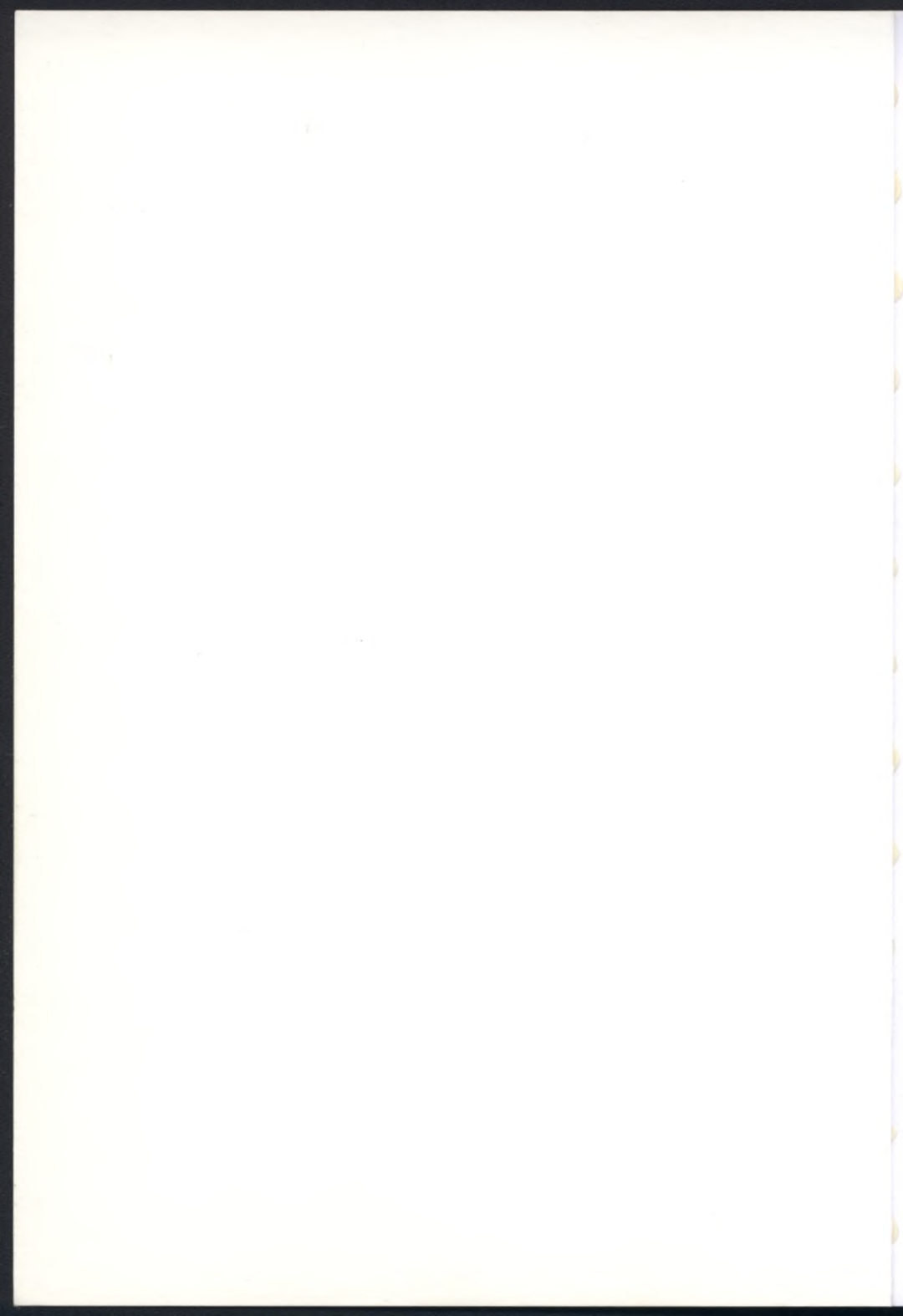
Między niebem a studnią



ŚLAD XXVII



SLUPSK 2007



Eleonora Kroczyńska

Między niebem
a studnią

SŁUPSK 2007



201448

821 o 162.1-1

C Reg.
821

116636

WSKRZESZANIE KAMIENIA

Za ciebie, kamieniu, przelewam duszę,
spijam z ust pękniętych od wołania po cichu
spienioną na czarno krew.
Widocznie wchłonęłam już cały granit.

Mojej syjamskiej siostrze śniło się
w twoim brzuchu serce.
Traci żelazo i ciało, żeby je usłyszeć.
Powinieneś wiedzieć, że niektórzy jeszcze
wierzą w przeznaczenie królów,
nosząc w portfelu znamię z prawego profilu
twojego uśmiechu.

Dostałam za ciebie, kamieniu, okup,
żeby nie ostygły te dwa przezroczyście motyle –
lusterka w chłopięcej buzi.
Nie dąsaj się na strzał niecelny,
kuszy używam do milczenia.
Pomyślałam, że jeśli cokolwiek
mogłoby cię wskrzesić,
to ból tylko.

MIĘDZY NIEBEM A STUDNIĄ

jak przypadkowo
zawieszono
nad podestem krateru
cielęce racice
ratować biegłaś
bez krzty podejrzeń o wielkość misji
(gdy cały świat przedpotopowo się bawił)
tak wbiegać z Bogiem
choćby co łyk oddechu
do aktywnego wulkanu
odwiesić spomiędzy nieba i studni
spłoszone oczy twoje
nie jest nawet
poświęceniem

NIEPOKOJEM DANTEGO PISANE

dotykasz paznokciem
otwartego oka
i nieruchomy czas
zgadzasz na cichość

bieleje noc

myślę
że słyszysz cyklon
w żyłach
oczarowana dnem Pacyfiku
który kusi do pocałunku
z gzymsu pałacowego tarasu

można zmierzać samotnie
Beatrycze
ale nie bez celu
niebo nad szklaną pokrywką
pulsuje wspomnieniem domu
gdybyś uniosła głowę
zstąpiłby wyciągniętą ręką Boga

mam nadzieję
że tymczasem umiem
wziąć twoje piekło
na siebie

PYTANIE

Od ostatniego zmartwychwstania
trochę się zmieniło –
śmiechu jest dość,
życia dość.

Pochłaniam witrażowe zjawiska:

zbieram w szkiełka
kuglarzy-terrorystów,
delikatne mimozy,
smakoszy Dr Oetkera,
kierowców-gawędziarzy,
prawie beatyfikowane,
niedoszłe samobójczynie,
w końcu uderzenia bieli
w przebiśnięgach i margaretkach,
rzeźbach gipsowych,
abażurach z koła
(ukradkiem po kątach zostawianych),
na które się czeka
behradnie
całe życie.

A jeśli to się zdarza,
i jeśli to mało,
by temu ulec,
to muszę Ci zadać pytanie.



ARYSTOKRACI, ARYSTOKRACI...

kreślimy do siebie
Szczegółolubny
kartograficzne listy

legend
i zakłęb do upartego Sezamu
nie trzeba
znaleźlibyśmy nawet wiatraki Don Kichota
w Inwokacji
gdyby tylko rzucono wyzwanie

zgadujemy siebie
Salomonie
jak dziecinny wynik mnożenia
jak kartkę włożoną ukradkiem
w drzwi skorodowanego volkswagena
z wyrazami kpiny

pasujemy do pospolitości
Pytanionośny
jak sterylne laboratorium do wiejskich obór
i jak dwie
można powiedzieć
połówki jabłka
z renety i papierówki

łączymy w sobie
Melancholeryku
ambiwalencje filozofów
i encyklopedyczne oczywistości
a mimo to
na złość
nie umiemy korzystać
z najprostszych
wzorów

CZAS

Miałam sen.

Stary strateg siedział
(jak u Bergmana)
na szachownicy
i z pogodą stoika nurkował w iskrze oka.

Graliśmy o przekonanie.

Niecierpliwe pytania ze zdań wielokrotnie złożonych
i potęgi intonacji rosnącej
lekceważył spokojnym równoważnikiem.

„Nie pamiętasz czaru
chowanego w leszczynie dowodu wspólnej tajemnicy
ani motoru, który przewiózł pierwszy raz
wielkie jak złotówki siedmioletnie oczy?

A to, jak w chowanego-szukanego
ambicja się zgubiła,
zaspawszy w kryjówce,
czy jak huba z dębem w symbiozie
poznała jego mowę?
Cóż mamy teraz?”

„Teraz – rzekł strateg – twój ruch.”

ŁASKA

Tobie
który jesteś
pod złamaną sosną
wszechświatem
oddechu i odosobnienia
który
ze spowiedzi kujesz
miecz i lewary
los zapętlasz w koło pod sukiennicami
przestawiasz październikowy zegar
a Wawel okrążasz snem Daniela
znosząc cierpliwie ciche dni
markizów
książąt
królów

dziękuję
za łaskę cierpienia
za łaskę wytchnienia
za łaskę strumienia

METAFIZYKA ULGI

Sen szczęśliwie nie przylgnął do dnia,
nie przeklął klaustrofobiczną gorączką,
nie zamknął na skobel betonowego czworoboku
zastygłego w zagadce.

Twoja pięciopalczasta szalupa
przekręciła żaluzjami wszechświat,
uwolniła perspektywę najbliższej gwiazdy,
zaszumiła nade mną znajomo
kosmosem światła,
paletą języków.

MILCZĘ

Z całego serca,
z całej duszy,
ze wszystkich sił
milczę.

Między regałami,
za kierownicą,
do słuchawki telefonu,
w otoczeniu histerycznej radości
milczę.

Zamiast pisania,
spowiedzi,
śpiewu i modlitwy porannej
milczę.

Zupełnie bez pomysłu,
bez ładu,
dziecinnie,
kapryśnie może,
może niegrzecznie,
ale najprawdziwiej.

* * *

Brukową ulicą
idziesz do mnie zwyczajny
każdy kamień spod stopy
oddaje strzały
rosną wieżyce
jak słowo zduszone w połowie
strata zawiniona
skrytogrzesznicy czekanie
wstydu bicie
na cztery
świata strony

MODLITWA WESTCHNIEŃ

usłysz proszę
ten szmer ducha jasny
choć nie ma chwały słońca

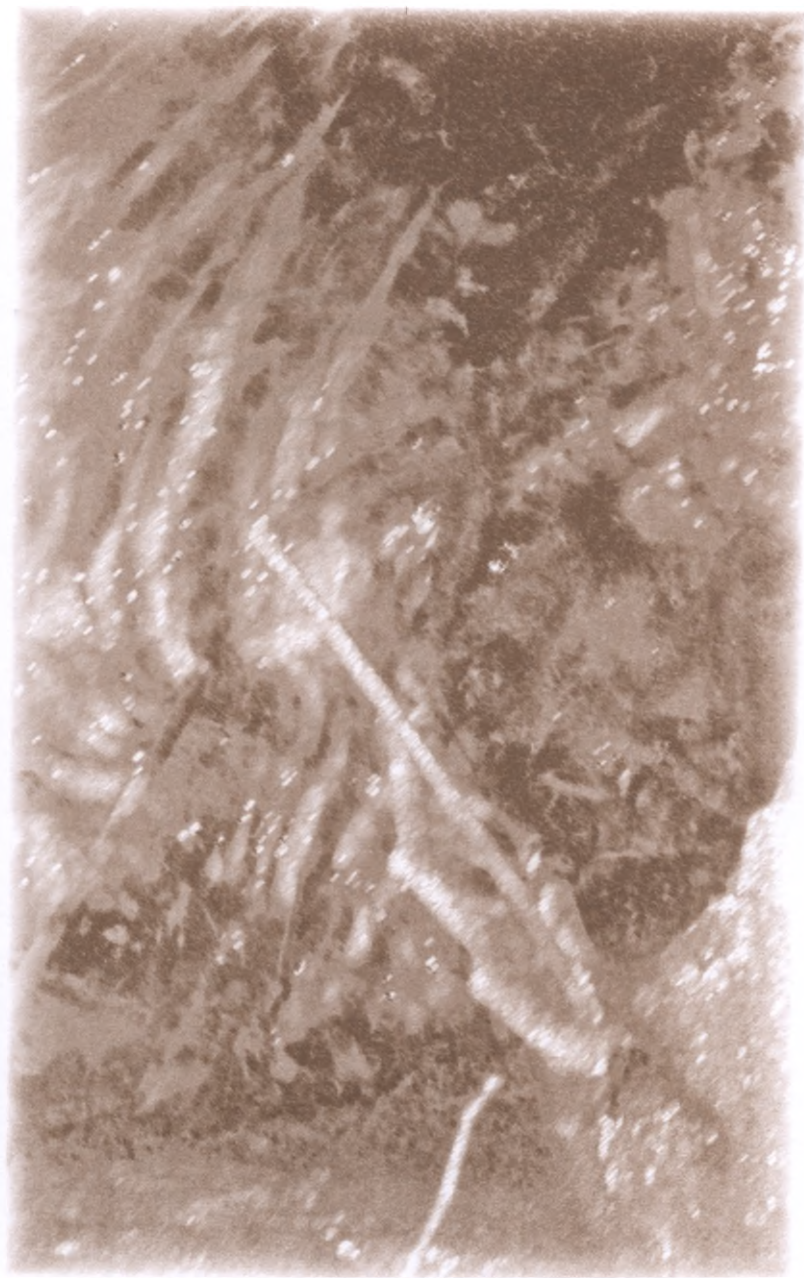
mech jeszcze pachnie nocą
piach klepsydrzany ucicha
o świetle
pochylona nad świecą
skurczona za drzwiami
szybuję jak wiatr
chmura
modlitwa westchnień

NIEUSTANNY KARNAWAŁ

Przeciwna naturze
kosmiczna bańko mydlana,
piano śmiechu
bita trzepotem niedorośli rzes,
nieustanny karnawale,
szmerze ludzkich rozmów w weneckich gondolach –
bądźcie pozdrowieni!
Przeuroczy bałaganie,
który cieszysz Królewską Mość
oczywistym sabotażem,
gipsowy osiołku
z nawleczonym na ucho pierścionkiem,
wiosenna deszczółko iluminowana na wodospad
pod kościelnym murem –
niech przez radość mijania
wasz wdzięk mnie utrwali.

ORION

jasną strzałą
wpięty w sufit ziemi
gwiazdozbiór siedmiu
(gdzie grotu ostrze
i lotnego pióra furgot
oddalone o lata świetlne
może są sobie bardziej znajome
niż ojczysta mowa)
niby przypadek bez celu powołany
a jednak znajomy wszechświatu
jak my
z imienia i piękna



* * *

wystawię
na ogień
na wiatr
wszystkie subtelności
kołnierz złożywszy na ramiona

rzucę na wodę wszystkie święta
w piach powagę honoru
jeśli trzeba
komukolwiek
Ciebie

OSTATECZNOŚCI

Jest w tych,
którzy policzyli wszystkie kosteczki
mściwej ręki zdarzeń,
ulotna wiedza,
że trudowi złorzeczyć -
grzech.
Zepsuty telefon,
zerwane sznurowadła
i garbaty nos,
to w ostateczności
kant kolorowy.

NA PROSTO

Prosto mówić,
prosto pisać,
na prosto się życia wyuczyć.
Im więcej chcieć,
tym więcej móc mieć
nawet niepełnych twierdzeń
na znaki zapytania.

Klinowym pismem się bawić,
bajki opowiadać,
w godzinę powagi być powagą,
w godzinę śmiechu śmiechem
i wszystko umieć od zaraz
choćby nieudolnie.

Z rozmachem zmieniać góry w doliny
i z logiką prostaka
dowieść jedyne Boga
w Enuma elisz...
Zawsze, synu, tak jak dziś
chciałabym umieć.

SEN

Staw,
nad stawem dom,
w środku lasu schody, pokoje i drzwi...
Kiedy mi się śnią,
ścigam zachłannie sens
ich głodnej powtarzalności.
Dziś odkryłam,
że za okiennicami jest sad,
w albumach jest zima,
a wiosna budzi
i przyprowadza mi na spowiedź
umarłych.

DLATEGO

nie za Twoją dobroć
i za wszystkie nieba
ani za nagrodę
i w ogóle nie za dobro czy zło
ani za ratunek
ani za wolną wolę
ale dlatego
że jesteś mój

APOSTROFY JESIENNE

wrzosy
przyniosłyście mi fiolet
mojego tabula-rasa

gołębiowi styczniowej nocy
złożyłyście skrzydło
i gniazdo w dzikim sercu

z framug okiennych
skubię ostatnie pióra
ptasiej furii

mamy
kochany
znów tło
i początek



SŁABOŚCI

Mógłbyś,
zegarmistrzu domysłów,
być hymnem o siłaczu,
który się wdał w Samsona
lub rozłupał łeb hydrze.
Bez powodzenia tymczasem precedzasz komary,
twoje garbate wielbłądy
galopem tumanią porywy serca
i ruch odwagi.

Słabość to koślawy napis z dna butelki,
spuszczony nagle wzrok
przesadna wiedza na temat przywiązań.

Słabość drwi uwodzicielsko i drwić pozwala
z kolejnych świętości
w tytoniowy wieczór.

Słabość jak wielkie dziecko
spaceruje po gzymсах łotrowskiego uśmiechu,
kryjąc za plecami piąstkę z tajemnicą
i zdradza się nieuważnie
pytaniem o stęsknione audytorium,
jakby odpowiedź mogła dopomóc
przeznaczeniu.

A mógłbyś
bez puszczeli i stawów
przejsć do historii,
gdyby tylko odnaleźć
i pchnąć zegar,
w którym zawisłeś
na godzinie zero.



ŚWIĘTA ZABAWA

Z dachów starówki czarne ciała wron
sfrunęły na świętą zabawę:

lot,
dywizjon szkolony,
tulup,
figurowo bez łyżew,
ścieg,
Hitchcocka profanum.

Nic poważnego,
kaprysy natury,
a bronują mózg
na sto osłupień.

TAK SAMO

Senna i biała
z opadłymi triumfalnie
jak Nike rękami
z ochrypłym głosem Jima Morrisona
mnisim kapturem świętego Franciszka
sunąc w szelestach sukien
księżnej Korybut-Wiśniowieckiej
bezpостaciowa i jasna
ironicznie żywa wbrew okolicznościom
obłąkana jak rewolucja
jak pies wierna
po słowiańsku nazwana
podwórkowo obecna
na złość święta
nad grobem i na kobiercach
stale dźwigasz
nadziejo
tak samo



W TERCECIE KOCHANI

jeszcze jedna naga prawda
jeden śmiech w półkolach łyżeczki
przy naparze z liściem mięty
niegrzeczny
czuły
i śmieszny salon luster
w oczach króla Karola

jeszcze raz zabawa w terrorystów
gdy mama Beatrycze śpi słodko
pozorne przeprosiny za pozorną złość
bo w końcu to psy szarpały się za głośno
tej nocy
a sen nie był taki głęboki

jeszcze jedno przebranie
od Iwana Groźnego
prezentacja
w pałatkach i beretach na bakier
baczność
(czy kobietom źle w mundurach?)

jeszcze raz pościg w noc
żeby z góry zdążyć zobaczyć
słupskie latarnie
kominy
domy
a potem
z ciała układać na wiwat litery
i opowiadać potworne brednie

jeszcze jedna kpina z poezji
przy sałatce z matiasów

a będziecie
moi w tercecie kochani
ubrani
i nieśmiertelni

MASZYNY

W trybach maszyn,
w zębatkach i zapadniach
bywam częściej
niż na ulicach prostych
w prostej sukience.

Minotaury mają tu dobrodusznie skręcone kły,
chodzą po prądnicach,
wzdychając z wyczerpania.

Nie pamiętam,
kto zachłysnął ten pokrętny korytarz
tysiącami stalowych stopni,
echem studziennych nawoływań.

Odnajduję tu coraz więcej
uwięzionych za poetykę sprzeczności
dusz.

Wyczuwają, że muszę tu wracać,
mimo że nikt nie nakazał.

Nazywają mnie maszynistką,
choć nie mam pojęcia o maszynach
na ironię.

Rzadko spotykam uwolnione potwory
za ścianami snu,
ale gdy się już zdarzy,
w półprzytomnym uśmiechu szukają pewności:
„Nie spotkaliśmy się kiedyś?”

Mają ludzki wyraz twarzy,
z czasem zaczynają mówić do mnie „siostra”,
bo po trudzie spokrewniam się z nimi,
a znane echo,
powracając, przetrąca pamięć,
drażny od środka
do nowych korytarzy.

WZÓR WYŚNIONY

Mówię przez sen
a śni się muzyka
głupie gawrony
dzikie gołębie
podwórko sprzed lat
na którym każde dziecko
znajduje skarb

Śnię przez dzień
bezsilność nieswoją
przez oczy starej jak świat
młodości
zgadując w tym wzór
na wieczność i prawdę

SZKOŁA ŻŁUDZEŃ

Matko,
Potrzebo tworów wyobraźni,
sztuk pięknych i wysokich;
Potrzebo oświecenia,
ławek, tablic, kasty;
Potrzebo wygody,
foteli, dyliżansów, sług...

Zbudowałaś szkołę możliwości
i przekraczanych granic.
Jesteśmy coraz mądrzejsi
i dotykamy wszechświata.
Powielamy ludzi,
kochamy ekranowo,
pozbywamy się masowo i natychmiast.
Jesteśmy dumni z takiej nieprzećiętności -
ona też kogoś potrzebuje.

PRZECIWBÓLOWO

Nie ma mrozu tej zimy,
tak że nawet kra w oku się nie zakręci.
Sople przekonani wrosły w drzewa
przygruntowych tęsknot.

Ta boleść nie potrafi boleć,
jest oszukana
i bez krwi,
a może znieczulona tylko...

Przeszliśmy już drogę czarnobiałych muzeów
w zamkniętych basztach,
pozdrowiliśmy posągowych strażników
z unikatowej kolekcji.
Dymy kominów starorynkowych
gdzieniegdzie ułożyły się w fotografie.

Z negatywów łatwo w ciemni o szczegół i kolor:
bawarskie zamki zawieszono na skałach,
alpejskie szczyty wiecznie białe,
miasteczka Disney'a zanoszące się śmiechem,
liguryjskie wody skręcone w ogromne muszle,
paryskie salony,
karaibskie plaże,
sumeryjskie cywilizacje,
karnawałowe Rio de Janeiro
i miłą panią z biura podróży.

Mało śniegu tej zimy,
błota, soli i niewygody.
Szczęśliwie się żyje wyznawcom życzeniowości
i miłośnikom piękna,
a może miło tylko...

IKARIADA

Zauważ, jak nieudolnie przyjaźnię się z Judymem.
Felczerskim rozmachem wyleczył moją wadę wzroku,
ale nie zaszczepił na niczyją wolność.

Zapadam za każdym twoim lotem
na skurcz obu komór.

Doktor Judym jest niepokieszony.

Nie chcę cię upuścić,
nie chcę przygnieść,
nerwowo
splatam ci powróż,
rzucam w morze
i wyciągam na brzeg.

Jak dotąd – bez ducha.

SIÓDME WZRUSZENIE

Ostatnio na poważnie zajmuję się
niczym poważnym;
nawet we śnie jestem na urlopie –
jak spać, to spać.

Nie tracę zmysłów.

Rozkład wciąż cuchnie,
gryzą się kontrasty,
marcepan gładzi słodko podniebienie,
wilgoć hoduje grzyby,
Bach rzeźbi z dźwięków galaktyki,
a szurzym śladem uciekają przecucia.

Życie się turla – najprościej, życie
od pierwszego do szóstego wzruszenia,
potem jest dość i z tego się robi
plus minus wszystko jedno.

Sen, bezpragnienie, spokój –
celebruję właśnie siódme wzruszenie,
jak przykazano.

PIÓREM W SKRZYDLE ANIOŁA

Czasami
przez bardzo krótką jawę
cała jestem rozlana
chłonę olśnienie
przeciekam światłem jak umarła
wdycham dym kadzidła
spod skrzydeł straży
przy czasach słów
tony nieludzkich gam
do omdlenia osłabiają w uniesienie
od chłodu rzeki lepią się myśli
a tęcza syci każdy głód serca
i trzeba łaknąć tym mocniej
wróciwszy znów na większość życia do przytomności
że przecież nie można bywać
piórem w skrzydle anioła

MAKOWA BALLADA

Nie myśl już o sławie i hańbie swojej królowej historii.
Nie wydała się dobrze, więc bywała wyrodną matką.
Ojca miałaś rycerza-lekkoducha,
jak bywa z kapryśnymi synami królów.
Najcyniczniejsze z możliwych imion – Abnegat –
nosił podobno bardzo dumnie.

Pozwól ich grobom ostygnąć. Jest dziś,
ono trwa tak cicho, że nie słyhać odejścia.
Hałaśliwe wczoraj niczego cię nie nauczy –
za ślepe już jest do narodzin.

Przepasz swoje liliowe czoło makową balladą:
„Kiedyś nowe Monte Cassino
w niemowlętach Norwida
uzdrowi jałową od strachu ziemię...”

Nie myśl już o sławie i hańbie swoich grobów.
Przytul się i pozwól kochać,
moja Polsko haftowana,
Polsko z legionu szwów.



SPOWIEDNIK POZNAŃSKI

musiałam nagrzeszyć

anioły z dni szczególnych

ujarzmiają niesforne loki

prawdopodobnie konsekwencją

w szydzeniu z nie dość dowcipnych

anioły z dni powszednich

krzątają się przy poznańskich targach

zdobywając certyfikat jakości skutecznych negocjacji

albo ekspozycją naszyjnika

z dziesiątym przykazaniem

anioły, anioły moje

jak zjawiska świetlne

czymś musiałam nagrzeszyć

za darmo się nie wdycha

duszy z losami świata

anioły z przeziębionymi skrzydłami

po ludzku ubrane anioły

czym wy zgrzeszyłyście

że musicie mi służyć

WRAŻENIOWOŚĆ STOSOWANA

Na stacji pośpiech,
ciśnienie tłoczy w głowę dym.
Dym lekko
ciałami słoni, ptaków, lokomotyw
wędruje w świat.

Pasażer z osobowego klnie czule.
Nie będziemy
zwracać uwagi.

Ciała schodzą się w bitą śmietanę,
śmietana w półuśmiech
i wózek.
Można pocałować kółko
i na splakany portret
przysiąc, że oddycha.

Pasażer milknie na papierosa.
Głuchność zdmuchuje kształty.

Jeśli neurony to jedyny autor doznań,
chwilowość i pamięć
powinny zabijać natychmiast
po złapaniu ostrości.

ZE SŁUCHU

Przecucia straty chodzą ścieżkami hysterii.
Oddzieliliśmy ścięgna od kości,
żeby ten popłoch wytępić –
psu na budę.

Chemia do zabijania nowotworów
nie zawsze morduje na pewno.

Dotknęliśmy księżycą
i obrośliśmy w status nuklearnej orbity wszechświata,
ale na kurczenie się plaż proponujemy
wzruszenie ramion.

Za życia niepokonani
zażywamy umiejętnie dozowanej śmierci,
zamieniając się wreszcie
około jedenastej pięćdziesiąt pięć
w słuch.

Szkic Boga wcielił się w arię na strunie G
Jana Sebastiana Bacha,
więc spokój musi się dać odtworzyć
ze słuchu.

Z LUTOWEGO DZIENNIKA

16 lutego, Poznań

Historia jest zaciętą płytą –
powtarza się w szczegółach.
Nawet farsz ruskich pierogów
umie ironizować.

Z lustrem bliźniaczych zdarzeń
zwulkanizował się wybuch pytań.
To już było.
Dě ja vu przesłuchuje mnie w kapturze
świętej inkwizycji.

18 lutego, Słupsk

stoisz
o lada chwilę stąd
zaglądasz mi przez ramię
i nie naruszasz wątpliwości
że jesteś
to mądre
dzięki temu jesteś

24 lutego, Gdańsk

Za nic nie chciałabym
chłonać tej brzydoty świata,
która codziennie smaruje ci chleb
z matczynym prawie współczuciem.
Wstydu się można najeść do obrzmienia dziąseł
w klatce-stop na wybranej myśli.
Przypuszczam,
że tylko snu się wtedy pragnie,
który nie śni.
Pewnie to nic nie zmieni,
że jesteś piękna,
moja przyjaciółko
skuta mrozem na szkle.

26 lutego, Słupsk

Poczuj,
jak z osłabienia się leje dziecko
i nie pytaj,
dlaczego to warto znieść.
O wieczność za późno
zrozumiałam w tobie życie.
Ogarnia mnie bicie dzwonów,
że gaśniesz
i że ci już nie pomogę.

28 lutego, Słupsk

Przyszła odwilż
dokonywać na mnie
regularnej wiwisekcji.
Wiem,
że dopóki dzieje się modlitwa
bezdech czyni wyjątek
dla wszystkich moich
niefortunnie reanimowanych bliskości.
Gdybym zasnęła na chwilę,
czuwaj.
Bez moich motyli
po przebudzeniu
ważyłabym więcej niż smutek.
Czy gdybyś je do ostatniego odwołał,
byłabym gotowa do lotu?

IMPROWIZACJE LANYCH KLUSEK

Czysty przypadek, że akurat
na dywanie ułożył się liryczny wzór liścia –
należy do zbioru plus nieskończoności
artystycznych pomyłek panny Omega –
ale umówmy się, że wolimy wierzyć
w rozmyślnie utalentowanych.

Gdyby nie trzeba było chodzić na stronę,
nieudacznictwo za życia
kanonizowano by.

Ciekawe, że niektórzy i w zupie
czytają metafory – lane kluski doskonale
improvizują kalafior.

Omega nie stałaby nawet w kanonie liter,
gdyby nie życzliwi degustatorzy.

To dzięki nim Omega
nie musi się znać
na klasyce Alfa.

POWROTY

Bądź czasem znów mały,
od wielkiego pragnienia
lekki -
wyośnij brzozą zieloną,
ciepłym się rozejdź mlekiem,
wiśniami w okno zapukaj,
krzyżu mój.

Zamknij na chwilę oczy,
aby zakwitnąć
jak w główce kaczeńca
chabrowe sny.

MOWA KOŃCOWA

domyślam się
niektórych zwątpień
że Bóg dał mi ciało
z gliny i wody

można je szczytać
z innych podobnych
nic
poza krwią i pianą
fenomen powszedni
wierny cud

przypuszczam
że niedorzecznie
brzmi mowa
o eschatologii ducha
w ustach z kobiecej skóry
którym zalotniej się wtapiać
w śmiech i westchnienie
niż w Platona
i tęsknotę do nowych galaktyk

na obronę biorę uczucie
że moje ciało
może być tylko tu
i teraz
a duch
zawsze
i wszędzie



SPIS TREŚCI

Wskrzeszanie kamienia	3
Między niebem a studnią	4
Niepokojem Dantego pisane	5
Pytanie	6
Arystokraci, arystokraci...	8
Czas	9
Łaska	10
Metafizyka ulgi	11
Milczę	12
*** (<i>Brukową ulicą</i>)	13
Modlitwa westchnień	14
Nieustanny karnawał	15
Orion	16
*** (<i>wystawie</i>)	18
Ostateczności	19
Na prosto	20
Sen	21
Dlatego	22
Apostrofy jesienne	23
Słabości	24
Święta zabawa	25
Tak samo	26
W tercecie kochani	28
Maszyny	29
Wzór wyśniony	30

Szkoła złudzeń	31
Przeciwbólowo	32
Ikariada.	33
Siódme wzruszenie	34
Piórem w skrzydle anioła.	35
Makowa ballada	36
Spowiednik poznański.	38
Wrażeniowość stosowana	39
Ze słuchu	40
Z lutowego dziennika	41
Improwizacje lanych klusek.	43
Powroty	44
Mowa końcowa.	45

Redaktor
Jerzy Dąbrowa-Januszewski

Korekta
Izabela Iwańczuk

Opracowanie graficzne
Wiesław Ciesielski

Fotografie
Beata Poświętna

Wydano dzięki środkom finansowym
Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego
w Gdańsku
oraz Urzędu Miejskiego w Słupsku

© Copyright by Eleonora Kroczyńska

ISBN 83-60090-11-4

Wydawca
„Biblioteka Śladu”
Oficyna Wydawnicza Literatów
76-200 Słupsk, ul. Jaracza 6
e-mail: zlp-slupsk@o2.pl

Skład i druk
Drukarnia BOXPOL
ul. Wiejska 28
76-200 Słupsk
tel. +48 59 8413 915
e-mail: boxpol@post.pl



8,00



Eleonora Kroczyńska - urodzona w 1977r. w Słupsku. W roku 2001 ukończyła Pomorską Akademię Pedagogiczną - studia magisterskie na kierunku filologii polskiej. Obecnie nauczycielka języka polskiego w jednej ze słupskich szkół podstawowych. Pisze teksty poetyckie, gra na gitarze, komponuje utwory muzyczne. W 2000r. laureatka konkursu „Interpretacje. Cyprian Kamil Norwid” w kategorii poezji śpiewanej. Pierwsze publikacje wierszy ukazały się w Brulionie Literackim „Ślad”, „Poezji Dzisiaj” oraz w „Akancie”. Debiutowała tomikiem wierszy „Gdy nie ma dowodów na cud” w roku 2005.

Biblioteka
ŚLADU

ISBN 83-60090-11-4